

Dariusz Karłowicz: Teby-Smoleńsk-Warszawa

Wiatr z Tracji

Jest taki obraz Jarosława Modzelewskiego, który przypomina mi się, kiedy myślę o poranku 10 kwietnia. Na gęstym czerwonym tle widać dwie czarne sylwetki: człowiek i pikujący samolot. To ostatnia sekunda przed katastrofą. Już za chwilę samolot wbije się w głowę biegnącego dołem człowieka (wszystko znów roztrzaska się w ruskim błocie). Gdy minie pierwszy ból i osłabnie uścisk depresji, wtedy okaże się, że z tym sterczącym z czoła kadłubem trzeba żyć. Zamiast przeczyć oczywistościom, musimy przyjąć do wiadomości, że żyjemy już po Smoleńsku, a powrót do *status quo ante* jest niemożliwy. Pierwsze pytanie brzmi: „Jak do tego doszło?”. Drugie – „Co dalej?”. Pierwsze jest żądaniem diagnozy budowanej po 89’ roku polityczności. Drugie dotyczy kwestii – mówiąc językiem Gertrude Himmelfarb – polskiej drogi do nowoczesności. Oba są najważniejsze.

Przez pięć pierwszych lat próbowano udawać, że nic się nie stało. Wypadek, katastrofa lotnicza – słowem nieszczęście, które może zdarzyć się zawsze i wszędzie. Na rodzące się znaki zapytania odpowiadała kanonada nihilizmu. Furda powaga! Nie damy się żałobie, drwimy z Tanatosa! Chcemy Barabasza, kaczkę po smoleńsku i krzyża z puszek po piwie Lech! Kłaniano się nisko, bardzo nisko. Oddać śledztwo, dziękować, bratać się, chwalić! Reset robiono od razu, nad trumnami, jeszcze w smoleńskim błocie. Zdjęcia mówią wiele: porozumiewawcze gesty, uśmiechy, uściski. Zanim można było cokolwiek ustalić, zrzucano odpowiedzialność na swoich. Klęczący na grobach krasnoarmiejców Wajda miał tej hańbie nadać rys moralnego patosu. Nie udało się. Kiedy w mediach usłużni pajace obciążali winą ofiary, w Moskwie do trumien wrzucano szczątki jak leci. Fragmenty ciał, worki foliowe, śmieci, pety. Co tylko było pod ręką. Kiedy pani minister zapewniała, że „wszystko jest jak należy”, żołdaci tłukli szyby, rozkopywali ziemię, niszczyli dowody. Dbano, żeby sprawa nie mogła się skończyć, żeby polska *stasis* jadziła się tak długo, aż każdy odnajdzie się w przeklętym podziale na my i oni. Tak, żeby się nie goiło. Na koniec rząd z dumą ogłosił, że państwo zdało egzamin celująco. Sprawę pośpiesznie uznano za zamkniętą, a żałobników za wariatów. Każdy kolejny krok potwierdzał, że tragedia nie była wypadkiem, lecz skutkiem.

Nie chodzi mi o zamach. To problem dla prokuratury. Nie potrafię go ani wykluczyć, ani potwierdzić. Chodzi o sprawy, do których nie trzeba kompetencji śledczych – o skutki przyjętych założeń, a więc o kształt państwa, model polityczności, słowem o to wszystko, co sprawia, że możliwe było to, co stało się przed i po katastrofie. I mówię nie tylko o grze, w której władze Rzeczypospolitej wspólnie z rosyjską ambasadą zajmowały się poniżaniem Prezydenta RP, ale o sprawach, które taką

*Mówię o odrzuceniu polityki
pojętej jako odpowiedzialność
za całość, a wtórnie o
lekceważeniu podmiotowości i
powagi państwa oraz o innych
skutkach plemiennych
mentalności stron
zamkniętych w bańkach
swoich przekonań, uprzedzeń
i interesów*

grę poprzedzają i
warunkują. Mówię o
odrzuceniu polityki
pojętej jako
odpowiedzialność za
całość, a dopiero
wtórnie o
lekceważeniu
podmiotowości i
powagi państwa oraz
o innych skutkach
plemiennych
mentalności stron
zamkniętych w
bańkach swoich

przekonań, uprzedzeń i interesów. Brak wizji wspólnoty jako solidarnej, sprawiedliwej i podmiotowej całości, oto – jak miemam – głębokie źródło wielu błędów i zaniechań: od tępego okrucieństwa imitacyjnej transformacji zaczynając, przez zaniechanie lustracji, lekceważenie kwestii bezpieczeństwa, pogardę dla instytucjonalnego ładu państwa, na demolowaniu pamięci i kultury kończąc. Wszystkie te wektory przecięły się w Smoleńsku. Smoleńsk to owoc niepoważnego państwa, niepoważnych kadr, niepoważnych instytucji. To prawda niezależna od tego czy był to zamach, czy wypadek.

Kto nadal kwestionuje istnienie podstawowych błędów konstrukcyjnych III RP, tego już pewnie nic nie obudzi. Nie! Nie chodzi o to, że Polska jest w ruinie. Błagam, tylko nie to! Poszukiwacze podobnych podniet odejdą zawiedzeni. Nie zajmuję się tu ani reklamą, ani terapią, ani budową morale w szeregach armii tkwiących w okopach naszej domowej wojny pozycyjnej. Komu brakuje paliwa polsko-

polskich bitew, niech sięgnie po media, które żyją z dostaw na front. Zebrałem teksty, które – choć powstawały na przestrzeni lat – krążą wokół kilku spraw i wiążą się z podstawą naszej pękniętej polityczności. Jeśli wydaje mi się, że warto do nich zajrzeć, to nie dlatego, że służyć mogą melancholijnej kontemplacji – mówiąc frazą Roberta Frosta – „niewybranej drogi” („road not taken”), ale dlatego, że czytane z pewnego oddalenia od spraw, które je sprowokowały, pomagają wrócić do idei i wyborów mających widoczne dziś konsekwencje. A przecież problem głębokiego podziału wspólnoty politycznej nie dotyczy wyłącznie Polski. Nie tylko my zbliżamy się dziś do ściany. Wiara w to, że rozpalona namiętnościami, ale ciągle przecież bezkrwawa *stasis*, która na pół rozdziera współczesne demokracje, nie eksploduje brutalnym paroksyzmem spuentowanym taką czy inną formą despotii, może okazać się naiwna. Czy wspólny dla obu zwalczających się obozów projekt polityczny oparty na wizji świata bez NICH nie zmieni się w rzeczywistość, gdy jedna ze stron uzyska wreszcie możliwość urzeczywistnienia swoich planów? Co się wtedy stanie? Nawet jeśli Dariusz Gawin ma rację i XX wiek przekonał o kontrproduktywności czystej przemocy, to dzisiejsza polityka – dysponując dużo subtelniejszymi środkami kontroli i przymusu – podobne cele osiągnąć może, nie posuwając się do terroru i eksterminacji. Żyjąc w rozpołowionym świecie, kibicując jednej ze stron, warto uświadomić sobie, że to zwycięstwo zniszczyłoby zwycięzcę. Gdyby wizja politycznego świata bez NICH przestała być tylko kanwą mobilizującego emocje spektaklu grozy, a stała się faktem, to skutki obróciłyby się przeciw wartościom, które zagrzewały do walki wygranych. *Vae victoribus!* Biada zwycięzcom! Dlaczego? Bo świat bez NICH z pewnością nie byłby już naszym światem. Niezależnie od tego czy wolność zostałaby ograniczona w imię demokracji i dobra ludu (przeciwko interesom międzynarodowego kapitału i zepsutym elitom) czy w imię ideałów państwa prawa (a przeciwko populistom i partykularyzmowi suwerencjonistów) – to jej po prostu nie będzie.

Wraz z nią zniknąć może, bagatela, porządek wzniesiony na aksjomacie ludzkiej godności, który w polityce widoczny jest w założeniu, że państwo służyć ma człowiekowi, a nie na odwrót. O tym ryzyku dobrze pamiętać. W pewnych warunkach wybór między nieliberalną demokracją a post-liberalną dyktaturą funkcjonalnej arystokracji może okazać się wyborem między równie niepożądanymi rozwiązaniami.

Dlaczego w książce o współczesnej polityce wracam do tebańskiego mitu? Na pewno nie po to, żeby uciec do przeszłości. Wychodzę od *Antygony*, bo tekst Sofoklesa – jak mało który – pozwala uświadomić sobie, że żyjemy w polityczności, która nie jest ani bezzałożeniowa, ani bezalternatywna. Sofokles precyzyjnie szkicuje topografię rozdroża, na którym się znajdujemy. Wybór jest rzeczywisty. Istnieje nawet jeśli już nie wierzymy w to, że politykę można widzieć inaczej niż w kategoriach racjonalnego (unifikującego) projektu. I jest to wybór nieunikniony. Nie można go ani zawiesić, ani ominąć.

*Wiara w to, że rozpalona
namiętnościami, ale ciągle
przecież bezkrwawa „stasis”,
która na pół rozdziera
współczesne demokracje, nie
eksploduje brutalnym
paroksyzmem spuentowanym
taką czy inną formą despotii,
może okazać się naiwna*

W rozmowie Kreona z Hajmonem spotykają się dwie skontrastowane koncepcje świata i polityki. Po jednej stronie mamy projekt uporządkowania rzeczywistości pod rządami rozumnej arche (w obu tego słowa znaczeniach, a

więc zasady i władzy), czyli plan stworzony i realizowany przez nowego króla Teb. Po drugiej zaś reprezentowaną przez Hajmona (syna i ofiarę Kreona) koncepcję polityki rozumianej jako umiejętność zarządzania niespójną, skonfliktowaną, nierzadko tragiczną całością – umiejętność pozwalającą trwać, redukować konflikty i napięcia, ale nigdy, bo to po prostu niemożliwe, urzeczywistnić zadekretowany przez Kreona porządek. W polityce – przekonuje przychylny stanowisku Hajmona Sofokles – nie ma nic groźniejszego od mitu końca tragedii. Brutalność racjonalistycznego projektu wyrasta wprost z przekonania o możliwej do osiągnięcia rozumnej harmonii państwa. Przemoc żywi się optymizmem. Potrzebuje go co najmniej tak samo jak oburzenia na głupotę, niesprawiedliwość i nędzę, które obiecuje wykorzenić i zniszczyć. Polityczna przemoc wymaga moralnego patosu. Kreon głęboko wierzy, że proponowana przez niego logika powojennego porządku miasta pozwoli ostatecznie zakończyć ciemną epokę nękających Tebańczyków cierpień. Król pada ofiarą najgroźniejszej pokusy polityki – wiary w możliwość położenia kresu bolesnej niedoskonałości ludzkiej wspólnoty.

U samego spodu obu stanowisk widać różne odpowiedzi na pytanie o ład świata. Rozmowa ojca z synem dotyczy spraw podstawowych. Czy świat składa się z puzzli pochodzących z jednego pudełka? Czy harmonię, do której powinniśmy się zbliżyć, można osiągnąć? Czy zdolni jesteśmy przezwyciężyć tragiczność świata? Namawiając ojca do wysłuchania racji zrewoltowanego ludu Hajmon nie potępia politycznego porządku ani rozumu. Sprzeciw dotyczy założenia, że fragmenty, z których składa się *polis* można ułożyć w spójny obraz. Polityk odpowiada za całość, ale całość – zdaje się przestrzegać Hajmon – to nie to samo, co jedność. Przekonanie o możliwości poddania świata jednej zasadzie wyrzuca poza granice miasta znaczną część jego faktycznego terytorium. Polityk musi słuchać stron, choć ich głosów

nigdy nie zdoła zorkiestrować. Być może Zeus posiada partyturę, w której wszystkie głosy grają jakąś rolę, ale polityk nie zna jej i nie pozna. Stanowiska, z którymi mamy do czynienia, przeczą sobie nawzajem, interesy i opinie wykluczają się, a strony wchodzą w konflikty – i czasem (choć oczywiście nie zawsze) bywają to konflikty niemożliwe do rozstrzygnięcia. Zadaniem polityki nie jest wybranie jednego i skuteczna eliminacja pozostałych, ale działania wynikające z odpowiedzialności za wszystkie. Król Teb nie może reprezentować części miasta. Żeby jednak objąć prawdziwą władzę nad całością musi najpierw pogodzić się z tragicznością świata i zasadniczo zredefiniować cele swoich rządów. Metaforą Hajmonowej polityki nie jest łożo Prokrusta. Zabójczym skutkom unifikującej operacji przeciwstawiona zostaje elastyczność drzewa i roztropność sternika.

Widzisz, że drzewo pośród wód powodzi,
jeśli się ugnie, zachowa konary,
ale odporne – z korzeniami runie.
Podobnie żeglarz, gdy napiętym żagłom
lin nie popuści, wywróci swój statek
i dnem do góry fala go poniesie
Gniew więc powściągnij i zmień swą decyzję.[1]”

Zasadniczym problemem rozumu politycznego jest jego nieelastyczność i upór. Uwaga zafiksowana na realizacji projektu zharmonizowania rzeczywistości staje plecami do świata. Próby zarządzania konfliktem pachną oportunistycznym i zdradą. Tymczasem polityka – przekonuje Hajmon – potrzebuje gibkości drzewa. To upór, a nie uwzględnianie przeciwnych wektorów kończy się katastrofą. Polityk musi dopłynąć do celu, wykorzystując znoszące się nawzajem siły fal, wiatru i prądów morskich. Czy zwalczanie ich nie byłoby

niedorzecznością? Dlatego mąż stanu nie obraża się na rzeczywistość. Punktem wyjścia jest afirmacja. Hajmon próbuje bezskutecznie przekonać ojca, że zdolność uwzględniania stanowisk nie jest dowodem słabości, ale realizmu. To, co królowi wydaje się spójnym rozumnym planem, okazuje się formą groźnego, bo destrukcyjnego i autoagresywnego zarazem redukcjonizmu. Skoro celem nie jest minimalizacja nieuniknionych napięć, lecz ich ostateczne zakończenie, to skutkiem – w zasadzie nieuchronnym – musi być aprobata dla koniecznych ofiar jako swego rodzaju kosztów realizacji projektu. Do rzezi prowadzi Kreona polityczny rozum. Wszystko, co wystaje poza prokrustowe łożo jego projektu, musi zostać odcięte.

Sofokles uczy, że wielkie tragedie zaczynają się od ogłoszenia końca tragedii, że mit politycznej harmonii rodzi podział na swoich i wrogów, a więc tych, którym przychodzi wybierać między uległością a eksterminacją. Czy ta lekcja stosuje się również do nas? Łatwo się zgodzić, że przez pryzmat *Antygony* można czytać wielkie tragedie XX wieku. Sądzę, że można również politykę obecnej doby.

Zacznijmy od naszego podwórka. Czy niesolidarna transformacja lat 90. nie była spektakularnym przykładem dogmatyzmu towarzyszącego wyjętym z głowy projektom naprawy świata, nie zaś – jak powiadają adwokaci – skutkiem niefortunnnych okoliczności, niekompetencji liderów i braku zasobów? Popatrzmy na składowe: a więc mityczny, a w każdym razie niewyraźny określony cel (Zachód), redukcjonizm sprowadzający rzeczywistość do kilku prostych jak cep wskaźników, bezalternatywność naukowej rzekomo konieczności, brak dialogu, schmittowski podział na swoich i wrogów, no i wreszcie nieprawdopodobne wprost okrucieństwo przemian, z całą bezwzględnością wyrzucające za burtę setki tysięcy ludzi (z Kuroniową

Czy niesolidarna transformacja lat 90. nie była spektakularnym przykładem dogmatyzmu towarzyszącego wyjętym z głowy projektom naprawy świata, nie zaś – jak powiadają adwokaci – skutkiem niefortunnych okoliczności, niekompetencji liderów i braku zasobów?

zupką jako programem osłonowym). Dodajmy do tego religijny wymiar transformacji – bezprzykładowy akt polityzacji chrześcijaństwa, które legitymizować miało nie tylko, co można jeszcze obronić, nowy porządek polityczny, ale też brutalność

przemian gospodarczych i społecznych, a nawet hurtowe rozgrzeszenie aparatu autorytarnej państwa i uwłaszczenie nomenklatury. Czy Kreon nie byłby dobrym patronem transformacji?

Oczywiście przestrogi z *Antyfony* nie stosują się wyłącznie do Polski tamtego czasu. Pewna innowacja polega na tym, że współczesne inscenizacje nie przewidują miejsca dla Hajmona i kapłana Tejrezjasza. Na scenie spierają się wyłącznie Kreonowie, a podzielone na obozy *Antyfony*, zamiast bronić konkretnego, popierają jeden z dwu wykluczających się nawzajem projektów „Teb bez NICH”. Afirmację złożonego świata zajęła ideologia, która ma go uporządkować, wyzwolić i uleczyć.

Pęknięcie przechodzące w poprzek europejskich demokracji to naturalny skutek działania systemu, który – nie reprodukując kulturowego spoiwa wspólnoty – zużył je ze szczerem. Kiedy polityka pożarła metapolitykę, kiedy stron sporu nie łączy już pamięć, obyczaje, wartości, kultura i religia, wówczas mechanizmy demokracji przedstawicielskiej okazują się siłą odśrodkową. Zamiast być barometrem legitymizacji i techniką pokojowej wymiany władzy stają się metodą pogłębiania podziałów, szkołą pogardy, rytuałem wrogości. Demokracja nie wyłania już stron wewnętrznego sporu, ale obce sobie plemiona, które obrastają w osobne tożsamości (z wolną tracąc wiarę w wartość łączącego je jeszcze demokratycznego mechanizmu budowania wspólnej ponadplemiennej władzy).

Ale niewątpliwie jest jeszcze jeden istotny powód rozłamu. Jest nim dominacja Kreonowego modelu polityki (w wyobraźni stronników przyjmującego postać monumentalnego starcia z siłami ciemności). Polityka jako racjonalny plan eliminacji przeszkód tarasujących drogę do przyszłości – to program obu stron współczesnego sporu. Patrząc na najgorsze doświadczenia XX wieku z perspektywy Sofoklesowej *Antyfony* powiedzieć można, że wprowadziliśmy przemoc, ale uniewinniliśmy jej źródła. Nie zeszliśmy dość głęboko. Nie nauczyliśmy się wątpić w leżące u podstaw nowoczesności złowrogi optymizm i dogmatyczną pewność politycznego rozumu. Nie przyjęliśmy nauki o niebezpieczeństwach racjonalnego projektu. Dlaczego? Kiedy po odpowiedź pójdź do Sofoklesa usłyszymy, że podobnie jak Kreon wygnaliśmy z Teb Dionizosa. Bóg niosący zwątpienie w ład podksiężycowego świata, w absolutny walor politycznych zasad i w pewność orzeczeń rozumu został wygnany, albo zamieniony w pluszową maskotkę.

*Bez doświadczenia religijnego
człowiek nigdy nie pogodzi się
z faktem, że rzeczywistość
przekracza zdolność
pojmowania. Wraz z prawdą o
ludzkiej przygodności religia
przynosi odtrutkę na „hybris”
– niewiarę w pewność*

Polityce i
dogmatycznemu ze
swojej natury
rozumowi niezbędny
jest rozszczelniający
go religijny
sceptycyzm
Tejrezjasza. To bodaj
najważniejsza nauka
płynąca z lektury
tragików. Bez
religijnej prawdy o

ograniczeniach ludzkiego poznania z *Antyfony* zniknęłaby błada iskra nadziei. Droga Kreona stałaby się jedyną możliwością rozumnej polityki. Nie chodzi oczywiście o religijność zimmanentyzowaną, będącą w istocie podsystemem służącym do legitymizacji władzy, ale o religijność, która polityczność przekracza (mogąc ją utwierdzać, ale mogąc też kwestionować). Mylą się ci, którzy religię łączą z dogmatyzmem. Roszczenie do pewności to cecha zapatrzonemu w siebie rozumu. Wątpienia uczy nas wiara. Tradycja, według której Pirron był kapłanem w Elidzie jest bardzo wymowna. Bez doświadczenia religijnego człowiek nigdy nie pogodzi się z faktem, że rzeczywistość przekracza zdolność pojmowania. Wraz z prawdą o ludzkiej przygodności religia przynosi odtrutkę na *hybris* – niewiarę w pewność. W *Antygonie*, podobnie zresztą jak w *Edypie królu* czy Eurypidesowych *Bakchantkach*, symbolem pokornej mądrości jest Tejrezjasz – kapłan Apolla, który występuje przeciwko regułom prowadzonej przez dogmatyczny rozum polityki. Bez religijnego sceptycyzmu niemożliwe jest otwarcie na całość. Również na całość *polis*. Nie przez przypadek patronujący przesłaniu *Antyfony* Dionizos, bóg przypominający o nie-

absolutności ludzkich reguł, to bodaj najpotężniejsza z dośrodkowych sił świata. Bóg niespójnej całości, który pokazuje jak przez pokorę i deeskalację utrzymać w całości świat rozsadzany przez żywioły partykularyzmu. Sofokles nie wierzy w projekt, który zakończy tragedię polityki. Wierzy w możliwość pomniejszenia jej skutków. Do tego zadania niezbędna jest elastyczność drzewa i mądrość żeglarza, który do celu płynie nie wbrew, ale dzięki niezgodnym żywiołom wiatru i wody. Tę nieprzezwyciężalną grozę polityki w *Antygonie* symbolizuje wiatr z Tracji, znak ciemnych potęg, które nigdy na dobre nie ucichną.

Składając tę książkę z tekstów pisanych w różnych okresach i na różne okazje starałem się odtworzyć historię poszukiwań, która – mam nadzieję – układa się w pewien rodzaj wywodu. Komponując całość podjąłem dwie świadome decyzje. Pierwszą, by tekstów tych nie uwspółcześniać i nie poprawiać. I nie chodzi o to, że nie chcę udawać mądrzejszego niż byłem (bo któż by nie chciał), ale o to, że wierzę, iż myślenie o polityce musi być zanurzone w konkretnej rzeczywistości – inaczej nie jest wiele warte. Skutkiem drugiej decyzji jest złożenie w tym tomie w całość rzeczy, które mówią wprost o tym, co nas otacza z tekstami, w których po radę idę do starych mistrzów. Jeszcze w połowie lat 90. w kręgu filozofów, z którego wyrosło środowisko Teologii Politycznej podjęliśmy próbę takiego czytania klasyków, które rzucałoby światło na całkiem współczesne problemy. Czytaliśmy Arystotelesa, Platona, św. Tomasza, Locke’a i Hobbesa, ale nie zajmowała nas historia dla niej samej, lecz powstająca na naszych oczach rzeczywistość. Chcieliśmy – jak ujął to Leo Strauss – uczyć się od wielkich mistrzów, a nie o nich. Wiele temu podejściu zawdzięczam, z czego po części zdaję w tej książce sprawę. Więc choć wiem, że

sąsiedztwo tekstów o Platonie i III RP może dziwić, to zapewniam, że w każdym wypadku idzie o współczesność. Ten bzik jest metodą. Czy Platon czy Sofokles – w kółko o Polsce.

Choć wiem, że sąsiedztwo tekstów o Platonie i III RP może dziwić, to zapewniam, że w każdym wypadku idzie o współczesność. Ten bzik jest metodą. Czy Platon czy Sofokles – w kółko o Polsce

Wychodząc od szkiców na temat filozoficznych i religijnych założeń transformacji oraz słabości modelu modernizacji imitacyjnej próbuję zrozumieć, co powinno zostać

uwzględnione, by pożądana zmiana okazała się skuteczna. Dlaczego poważna polityka potrzebuje pamięci, i o czym musimy pamiętać, bo konstytuuje to naszą polityczną tożsamość? Dziedzictwo polskiego republikanizmu, łacińskość, katolicyzm, trauma politycznego niebytu, doświadczenie dwóch totalitaryzmów wraz z wyrastającymi z nich kultem Miłosierdzia oraz ideą i praktyką solidarności, to nie dobierane z bufetu dania, ale nasz los i terażniejszość. Bez tego bagażu podmiotowa nowoczesność nie może się udać. Dlaczego wybraliśmy ksero-modernizację? Choć trudno jednoznacznie orzec, w jakim stopniu postawa imitacyjna łączy się z utrwaloną w latach niewoli atrofią podmiotowości (którą widać zarówno w kulturze, jak i polityce), to ich związek wydaje się oczywisty.

Nasze kłopoty nakładają się na trwający w Europie kryzys powojennego porządku politycznego – kryzys w swojej istocie ustrojowy. Wchodząc do rodziny państw demokratycznych nie spodziewaliśmy się, że

upragniony porządek dotarł już do punktu, w którym niezbędna staje się gruntowna rewizja przyjętych założeń. Powszechny na Zachodzie eurosceptycyzm, niewiara w demokrację, utrata zaufania do instytucji i ogromny pesymizm nie dadzą się uleczyć małymi korektami. W obliczu kryzysu warto spojrzeć na fundamenty. Tam kryją się napięcia, które musimy zrozumieć, by odpowiedzieć na pytanie o powody utraty równowagi. Wydaje mi się, że ciągle nie jest za późno na reset, który pozwoliłby przywrócić zachwianą stabilność. Czy starczy nam zalecanej przez Hajmona elastyczności?

Nadwątlona dwoma kryzysami wiara w solidność istniejącego porządku otrzymuje najbardziej bolesną i bodaj najpoważniejszą lekcję pokory. Pod znakiem zapytania staje nie tylko wartość konkretnych politycznych i ekonomicznych konstrukcji, ale sama metafizyka, na której ufundowano powojenny ład

Dariusz Gawin powiedział kiedyś, że historia zawsze przychodzi z boku. Kiedy kończę pisać ten wstęp, COVID-19 zbiera straszne żniwo na całym świecie. Nadwątlona dwoma kryzysami wiara w solidność istniejącego porządku otrzymuje najbardziej bolesną i bodaj najpoważniejszą

lekcję pokory. Pod znakiem zapytania staje nie tylko wartość konkretnych politycznych i ekonomicznych konstrukcji, ale sama metafizyka, na której ufundowano powojenny ład. Słuchając codziennych statystyk zachorowań i śmierci oglądamy coś, co miało przecież nigdy się nie wydarzyć. Widzimy epifanię przygodności. Cały

nasz świat terminów, planów, budżetów, harmonogramów został nagle wzięty w nawias. Międzynarodowe instytucje, globalny rynek, banki, nauka okazują się bezradne wobec mikroskopijnego wroga, który może je zdmuchnąć nie po latach, ale zaledwie kilku tygodniach oblężenia. Bierzymy przyspieszone lekcje ciemności. Niepodważalne zdawałoby się dogmaty oświeceniowej cywilizacji zostają uchylone. Mamy czas *epoche*. Powoli dociera do nas, że nic nie wiemy i nad niczym naprawdę nie panujemy: nie wiemy jaką skalę przyjmie pandemia, czy potrwa miesiące, czy lata, nieznana jest skala katastrofy, jaką koronawirus spowoduje. Tym bardziej nie wiemy, jaki będzie świat, kiedy wichura znów na pewien czas przycichnie. Czy zaraza wzmocni istniejące podziały, czy może je unieważni? Jaką lekcję weźmiemy z tego doświadczenia? Solidarności i pokory czy wręcz przeciwnie?

Jest w tej książce wątek osobisty. W Smoleńsku, wśród wielu wybitnych Polaków zginęli bardzo drodzy mi ludzie. W tej liczbie wymienić muszę pana Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego, z którym miałem zaszczyt współpracować, uczestnicząc m.in. w przygotowywaniu Seminariów Lucieńskich, Rzecznika Praw Obywatelskich Janusza Kochanowskiego, z którym spotykałem się jako członek utworzonej przez niego Rady, Andrzeja Przewoźnika – sekretarza Rady Pamięci Walki i Męczeństwa, której byłem członkiem i wreszcie wiceministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Tomasza Mertę, prywatnie towarzysza długich rozmów, wspólnych lektur i przedsięwzięć – osobę ważną i bliską, nieodżałowanego przyjaciela, któremu tę książkę dedykuję.

Myślenie bywa pracą zbiorową. Tak jest w przypadku Teologii Politycznej, tak jest w przypadku mojej wyjątkowo rozdyktowanej rodziny. Przedstawione tu szkice nigdy nie powstałyby, gdyby nie rozmowy z moją żoną Ewą Stanisławską-Karłowicz, z moimi synami Janem, Ignacym i Stanisławem oraz dwójką niezawodnych przyjaciół Markiem Cichockim i Dariuszem Gawinem (Markowi osobno podziękować muszę za zgodę na umieszczenie w tym zbiorze tekstu, który kiedyś wspólnie podpisaliśmy). Słowa wdzięczności kieruję do Joanny Paciorek, wiceprezes Fundacji św. Mikołaja, za jej wsparcie i zachętę, oraz do moich redakcyjnych kolegów Tomasza Herbicha i Mikołaja Marczaka, którzy bardzo pomogli mi w kompozycji i redakcji tej książki. Na koniec jeszcze trzy z serca płynące podziękowania: Magdalenie Łobodzińskiej za staranną redakcję językową, Wojciechowi Stanisławskiemu za wszelkie uwagi i rady – jednym słowem za pomocną dłoń i Jarosławowi Modzelewskiemu za życzliwą zgodę na wykorzystanie fragmentu jego obrazu na okładce tej książki. Wszystkim bardzo dziękuję.

Dariusz Karłowicz

10.04.2020 – Józefów

Powyższy tekst stanowi wstęp do książki Dariusza Karłowicza „Teby-Smołęńsk-Warszawa. O złudzeniu i nietragiczności polityki”.



[1] Soph. Ant. 712-718, tłum. Robert R. Chodkowski w: *Sofokles, Tragedie*, tom 2, TN KUL, Lublin 2012, s. 252.

KLIKNIJ i WESPRZYJ wydanie nowej książki Dariusza Karłowicza „Teby – Smoleńsk – Warszawa. O złudzeniu nietragiczności polityki”